



FILM JUŻ  
W KINACH

*NIGDY NIE REZYGNUJ. NIGDY SIĘ NIE PODDAWAJ.*

ANTHONY MCCARTEN

# CZAS MROKU

JAK CHURCHILL ZAWRÓCIŁ  
ŚWIAT ZNAD KRAWĘDZI

MARGINESY



ANTHONY McCARTEN

# CZAS MROKU

JAK CHURCHILL ZAWRÓCIŁ  
ŚWIAT ZNAD KRAWĘDZI

Przełożył

JAN WĄSIŃSKI

MARGINESY

W ciągu wielu lat zgromadziłem na półkach niemało pozycji wydawniczych. Można by je objąć wspólnym tytułem *Wielkie mowy, które zmieniły świat*. Ich lektura pozwala na wysnucie tezy, że zaledwie kilka razy i przy spełnieniu licznych warunków miały miejsce wyjątkowe osiągnięcia oratorskie. Odpowiednia osoba użyła odpowiednich słów w odniesieniu do odpowiedniej koncepcji i wypowiedziała je w odpowiednim czasie.

Z pewnością we wspomnianych antologiach znajdzie się miejsce dla wystąpień Winstona Spencera Churchilla. Na pewno dla przynajmniej dwóch lub trzech. Już wtedy brzmiały one dość staroświecko i patetycznie, a nienaganna sztuka posługiwania się językiem ocierała się w jego przypadku o pompatyczność, niemniej zawsze zawierały one kilka wybornych zwrotów trafiających w punkt, wyjątkowo chwytliwych sloganów, których nie zapomnieliby słuchacze zarówno tysiąc lat wcześniej, jak i po upływie dziesięciu stuleci.

Kiedy w ramach drugiego kierunku studiów zająłem się przemówieniami Jawaharlala Nehru, Włodzimierza Iljicza Lenina, Jerzego Waszyngtona, Adolfa Hitlera, Martina Luthera Kinga i innych, zacząłem podziwiać zarówno samą sztukę krasomówstwa, jak i ludzi, którzy zonglowali słowami zdecydowanie, celnie i skutecznie. Gdy byli w najlepszej formie, niewypowiedzianym

COPYRIGHT © Anthony McCarten, 2017

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Jan Wąsiński

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2018

wcześniej ludzkim myślom potrafił nadać widzialny kształt, przekuć odmienne emocje we wspólną pasję, zdolną kwestie nieprawdopodobne zmieniać w rzeczywistość.

W przypadku Churchilla wyjątkowe wydało mi się to, że trzy spośród swoich wielkich przemówień przygotował w niespełna cztery tygodnie. Maj 1940 roku okazał się w jego życiu jedynym okresem, który przepełniał patetyzm. To wtedy powstały te wielkie oracje. Co było wówczas takiego szczególnego, co pozwoliło mu wznieść się na wyżyny? Jakie okoliczności polityczne i osobiste przywiodły go do tego – i to trzykrotnie w ciągu tak krótkiego okresu – by zamieniać słowa w szczerę złotą?

Odpowiedź brzmi prozaicznie: Wielka Brytania znajdowała się w stanie wojny. Wszystkich ogarniała zgroza na widok skuteczności blitzkriegu, tego, jak europejskie demokracje pod gradem nazistowskich bomb padały jedna za drugą. Świadom powagi chwili nowy premier Wielkiej Brytanii, uzbrojony w długopis i armię maszynistek oczekujących na każde jego skinienie, w sytuacji, gdy napaść strasznego przeciwnika wydawała się kwestią godzin, zastanawiał się, jakie słowa mogą porwać rodaków do heroicznego oporu.

Z fascynacji tymi zagadnieniami zrodziły się niniejsza książka oraz scenariusz do filmu *Czas mroku*. Podjąłem się analizy metod postępowania, sposobu myślenia, cech przywódczych i stanów duszy człowieka, który w jej niewątpliwie poetycznej głębi wierzył w owych decydujących dniach, że słowa mają znaczenie, liczą się i mogą odegrać dużą rolę w zmienianiu świata.

Wstępne rozeznanie skłoniło mnie do skupienia uwagi na mrocznym okresie od niespodziewanej nominacji Churchilla na urząd premiera 10 maja 1940 roku do 4 czerwca, to znaczy niemal całkowitej ewakuacji spod Dunkierki zagrożonych klęską wojsk brytyjskich (co stanowiło zapowiedź nieuchronnego upadku Francji). Wtedy Churchill wygłosił ostatnie ze swoich trzech wielkich przemówień.

Brytyjskie Archiwa Państwowe udostępniły mi istotne narzędzie badawcze: oryginalne protokoły z posiedzeń Gabinetu Wojennego, którym w owych ponurych dniach przewodził Winston Churchill. Pozwoliło to rzucić światło na niezwykle w jego życiu okres niepewności, chwile wahania w niewzruszonym w zasadzie sprawowaniu przywództwa. Cokoły pozostawmy posągom, ludziom pozwólmy pozostać żywymi. Uważna lektura wspomnianych protokołów nie tylko ukazuje przywódcę, który – atakowany ze wszystkich stron i chwilami niepewny w sprawie wyboru kierunku – popadł w poważne tarapaty, lecz także nieznaną mi wcześniej możliwość zawarcia przez brytyjski Gabinet Wojenny pokoju z nieprzyjacielem, która na zawsze zmieniłaby świat. Jak bliski był Churchill podjęcia rokowań z Hitlerem? Z zaskoczeniem odkryłem, że niebezpiecznie bliski.

Gabinet Wojenny, który początkowo zbierał się w siedzibie Admiralicji (oddalonej od Downing Street o kilka minut spaceru ulicą, przy której znajdują się budynki rządowe – Whitehall), a później w schronie ulokowanym głęboko pod gmachem Ministerstwa Skarbu, stanął przed nie lada dylematem: Czy Wielka Brytania ma samotnie prowadzić walkę, niewykluczone, że za cenę unicestwienia własnych sił zbrojnych, a może nawet całego narodu, czy też uniknąć zbędnego ryzyka, szukając pokoju z Hitlerem? Ambasador Włoch w Wielkiej Brytanii zasugerował, że za pewne ustępstwa terytorialne w koloniach afrykańskich, a także za Maltę i Gibraltar Benito Mussolini, faszystowski przywódca Włoch, może podjąć się pośrednictwa w rozmowach między Berlinem a Londynem. Churchill miał twardy orzech do zgryzienia. Lord Halifax, kontrkandydat do stanowiska premiera, forsował podjęcie rozmów, a przynajmniej możliwość rozeznania się w warunkach proponowanych przez Hitlera. Również poprzednik Churchilla na stanowisku szefa rządu, Neville Chamberlain, skłaniał się ku opinii, że zawarcie pokoju może być jedyną rozsądną drogą

prowadzącą do uniknięcia katastrofy. Churchill poświęcił wiele godzin, by kierując się intuicją, w samotności dokonać właściwego wyboru.

Wielu czytelników zapewne będzie zaskoczonych, gdy się dowie, że wielki Winston Churchill, który przeszedł do historii jako zagorzały i nieugięty wróg Hitlera, oświadczył swoim współpracownikom z Gabinetu Wojennego, że w zasadzie nie sprzeciwiałby się rozmowom pokojowym z Niemcami, „o ile Herr Hitler jest gotów do zawarcia pokoju na warunkach polegających na przywróceniu niemieckich kolonii i jego władania nad Europą Środkową”. W pewnym momencie – 26 maja – miał nawet oświadczyć, „że byłby wdzięczny za wykaraskanie się z naszych obecnych tarapatów, pod warunkiem że zachowalibyśmy żywotne podstawy naszej potęgi, nawet kosztem ewentualnych ustępstw terytorialnych”. Kosztem jakich terytoriów? Nie tylko europejskich, lecz także brytyjskich. Ale to nie wszystko. Jak odnotował Chamberlain w pamiętniku pod datą 27 maja, Churchill oznajmił podczas obrad Gabinetu Wojennego: „gdybyśmy mogli wydostać się z obecnych oparów, poświęcając Maltę i Gibraltar i kilka afrykańskich kolonii, to skwapliwie bym z takiej oferty skorzystał”.

Czy Churchill rzeczywiście rozważał podjęcie rozmów ze skrajnie niebezpiecznym szaleńcem, któremu był bardziej niechętny niż komukolwiek innemu? Na to wygląda. Ciężka na nim tak ogromna presja, że nie tylko rozważał taki pomysł, lecz także pozwolił, by lord Halifax przygotował ściśle tajne memorandum dla Włochów, które zawierałoby brytyjskie warunki i pozwoliło na wstępne rozeznanie, jak bardzo nieprzejednany może być Hitler.

Nie zgadzam się z tymi, którzy gotowi są twierdzić, że każde przypuszczenie, jakoby Churchill poważnie zastanawiał się nad takim porozumieniem, deprecjonuje tego wielkiego człowieka i go szkaluje. Mam wręcz przeciwne zdanie: publiczny wizerunek rwącego się do walki wojownika, który nigdy nie miał wahań

i wątpliwości, nie przedstawia Churchilla w sposób, na jaki on zasługuje, ponieważ czyni go nierzeczywistym, banalnym i pozbawionym wielowymiarowości wytworem zbiorowych marzeń. Jego rozterki w sprawie rozwiązań, pokrywane umiejętnością robienia dobrej miny do złej gry, by podtrzymać morale rodaków, nie uwłaczają jego postaci, a raczej budzą uznanie.

Tak właśnie wyglądały chwile mroku, do których nawiązuje tytuł książki. Pamiętajmy jednak, że po nich i – co więcej – dzięki nim Churchill objawił się nieoczekiwanie jako porywający mówca w dwóch wspaniałych *coups de théâtre*, wybitnych przykładach *peroratio* – zakończenia mowy podsumowującego wywody i zwracającego się z patosem do słuchaczy. Pierwsze wygłosił w obecności członków rządu, niewtajemniczonych w obrady Gabinetu Wojennego, drugie zaś w parlamencie, i wtedy mógł je usłyszeć cały świat. Pierwsza z mów była preludium prawdziwego popisu oratorskiego i choć nie istnieje jej pełne nagranie, to jednak dwóch uczestników spotkania podaje w pamiętnikach ogólne jej zarysy i wiele kluczowych sformułowań. Druga przeszła do annałów już w chwili, gdy z ust Churchilla wydobywały się słowa wymieniające kolejno plaże, lotniska, pola, ulice, wzgórza, morza i oceany, a także przestworza jako miejsca, w których Wielka Brytania stawia opór budzącym postrach najeźdźcom.

W obu tych przemówieniach, a także w wygłoszonym kilka tygodni wcześniej – w którym obiecywał słuchającym krew, znoj, łzy i pot, choćby tego nie chcieli – czerpał z potężnego arsenału istniejących środków retorycznych. Korzystał z lekcji pobranych, ogólnie mówiąc, u Greków i Rzymian, w szczególności zaś od Cyclerona. Najpierw wzbudzał współczucie dla swojego kraju, dla siebie, dla współobywateli, dla sprawy, następnie zaś zmierzał w stronę emocjonalnego, bezpośredniego wezwania – przez rzymskich krasomówców określanego mianem *epilogos* – które miało poruszyć serca i wywołać łzy u każdego słuchacza.

Istnieją pierwowzory owych fajerwerków słownych, które Winston odpałił trzykrotnie w maju i na początku czerwca 1940 roku – w szczególności mowa Marka Antoniusza w obronie Maniusza Akwiliusza, kiedy to Antoniusz rozerwał tunikę Akwiliusza, żeby ukazać jego blizny wojenne – a których Izba Gmin i społeczeństwo brytyjskie nigdy wcześniej nie słyszały. Za pomocą słów Churchill odmienił polityczne nastroje, pokrzepił nadszarpniętą determinację rozdygotanego narodu i skierował go na niepewną drogę, która – koniec końców, pomimo wielu przeciwności i z poświęceniem zapowiadany przez Winstona (a nawet jeszcze większym!) – doprowadziła do całkowitego zwycięstwa.

Czyż nie jest to materiał na fascynującą historię?

Kiedy Winston Churchill umarł, powiedziano o nim, że w owych mrocznych chwilach 1940 roku, kiedy Wielka Brytania stanęła sama oko w oko z potężnym przeciwnikiem, zmobilizował język angielski i posłał go w bój. Nie jest to jedynie zgrabna przenośnia. W tamtych długich dniach miał do dyspozycji tylko słowa. Jeśli jednak ktoś miałby pozostać z zaledwie jednym narzędziem walki, akurat słowa można polecić z czystym sumieniem. Potwierdza to historia.

WTOREK, 7 MAJA 1940

**HITLER NAJECHAŁ JUŻ CZECHOSŁOWACJĘ,  
POLSKĘ, DANIE I NORWEGIE.**



**TERAZ GOTUJE SIĘ DO PODBICIA RESZTY EUROPY.**



**W WIELKIEJ BRYTANII PARLAMENT STRACIŁ WIARĘ  
W PRZYWÓDCĘ, NEVILLE'A CHAMBERLAINA.  
ROZPOCZYNA SIĘ POSZUKIWANIE  
ODPOWIEDNIEGO NASTĘPCY.**



## IZBA PODZIELONA

Sala obrad parlamentu brytyjskiego huczała od oskarżeń i obelg. „Precz, precz!”, krzyčili arystokraci i członkowie Izby Lordów, wychylający się z balkonów na piętrze, by wszystko dobrze widzieć. „Odejdź już! Zrezygnuj!” Brytyjska scena polityczna nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Członkowie partii opozycyjnych zwijali listy swoich zapytań poselskich i oskarżycielsko wyciągali rulony w stronę załamanej, już przegranej – i skrycie niedomagającej – postaci, która siedziała naprzeciwko mównicy: wywodzącego się z Partii Konserwatywnej premiera Neville’a Chamberlaina.

Chamberlain jednak z różnych powodów nie kwapił się do zrezygnowania z funkcji przywódcy, zwłaszcza że nie widział nikogo na swoje stanowisko.

Wielka Brytania od ośmiu miesięcy znajdowała się w stanie wojny, która nie zapowiadała niczego dobrego. Zarówno politycy, jak i obywatele domagali się nie tyle przywódcy, ile wyjątkowego przywódcy – ze względu na wyjątkowe czasy – potrafiącego zapewnić to, co mogą tylko postaci wyjątkowe: słowa mogące poruszyć i porwać, przekonać i zelektryzować, natchnąć, a nawet wykuć w sercach zwykłych ludzi emocje w takim stopniu, jakiego oni sami by się po sobie nie spodziewali. Po słowach miały nastąpić działania i – zależnie od ich roztropności – ostateczny triumf albo krwawa klęska.

Być może zaskakiwało, ale w chwili tak wielkiego kryzysu Brytyjczycy, jak każdy naród, życzyliby sobie widzieć u swojego przywódcy zupełnie co innego: zdolność do wyrażania wątpliwości. Umiejętność krytycznego patrzenia na własne oceny, umysł zdolny do jednoczesnego przyswojenia dwóch sprzecznych ze sobą koncepcji, a następnie ich zestawienia; dar trwania bez podjętej decyzji, by dzięki temu móc prowadzić rozmowy z wciąż otwartym umysłem. Oczywiście to zupełnie co innego niż sytuacja, gdy postanowienie zostało już podjęte, a umysł może prowadzić debatę już tylko z samym sobą. Wtedy Wielkiej Brytanii nie był potrzebny ideolog. Potrzebny był jej ktoś, kto potrafi wszechstronnie analizować rzeczywistość – na wszelkie możliwe sposoby.

Oliver Cromwell w 1650 roku napisał do prezbiteriańskiego Kościoła szkockiego: „Na łaskę Chrystusa, zaklinam waszmościów, dopuście, że możecie tkwić w błędzie”. W 1940 roku nastąpiły niepewne czasy, Brytyjczycy musieli mierzyć się z tak poważnymi problemami, że od kolejnych kroków zależała wręcz przyszłość narodu. Najważniejsze wówczas pytanie brzmiało: gdzie znaleźć odpowiedniego przywódcę.

„Choćbyś pan robił jeszcze coś dobrego, tkwiłeś pan tu zbyt długo. Zrezygnuj pan, powiadam więc, wybaw nas już od siebie. Na litość boską, wynocha!” Po tych słowach Leo Amery, parlamentarzysta ze Sparkbrook w Birmingham, wśród burzy braw wracał na swoje miejsce<sup>1</sup>. Działo się to we wtorek wieczorem, 7 maja 1940 roku, w trakcie pierwszego dnia legendarnej dziś debaty norweskiej. Parlament obradował już prawie dziewięć godzin. Był letni, ciepły wczesny wieczór, na zewnątrz zapadł zmrok. Ostrze słów Amery’ego zostało wymierzone w Chamberlaina, kolegę z Partii Konserwatywnej.

Wielka Brytania była krajem podzielonym, współpracę w ramach rządu podkopywało wybujałe ego niektórych polityków

i błahe różnice zdań między nimi, co przyczyniało się do fatalnych błędów wojskowych zarówno na lądzie, jak i na morzu. Triumf faszyzmu i zmierzch demokracji w Europie bynajmniej nie były już tylko mrzonką.

Zarzewie tej słynnej debaty pojawiło się pięć dni wcześniej, kiedy w sali obrad gruchnęła wieść, że Wielka Brytania po pierwszym w czasie wojny ataku nazistów na wojska angielskie ewakuuje oddziały z norweskiego portu Trondheim. Leo Amery oraz inni konserwatywni deputowani i lordowie wchodzący w skład komisji kierowanej przez lorda Salisbury’ego, mającej nadzorować prace rządu, a także członkowie międzypartyjnej parlamentarnej grupy operacyjnej Clementa Daviesa (z Partii Liberalnej), która miała podobne cele i zrzeszała też członków Partii Pracy, zgodzili się na przeprowadzenie debaty poświęconej rażącym błędom popełnionym w Norwegii. W wyniku tej debaty miał ustąpić przywódca, który zdaniem deputowanych zawodził ich samych oraz ojczyznę.

7 maja o godzinie 15.48, pierwszego dnia dwudniowej debaty, w części obrad poświęconej kwestii „prowadzenia wojny” jako pierwszy na forum parlamentu przemawiał Chamberlain. Jego słowa, które miały służyć uratowaniu posady, nie poprawiły jego sytuacji ani nie rozwiały obaw, że Wielka Brytania w gruncie rzeczy zmierza ku katastrofie. Raczej potwierdziły, że premier jest zmęczony, prezentuje postawę defensywną i można się po nim spodziewać jedynie tego, że wkrótce zaprowadzi naród do nieszczęścia. Mimo że wyglądał – jak ujął to później jeden z publicystów – na „załamane i przywiędłego”<sup>2</sup>, nie złożył broni, choć przeciwnicy szyderczo obrzucali go pamiętnymi powiedzeniami. Dobrze je wszystkie znał, jako że sam je ukuł: „pokój dla naszych czasów” (to jego wzniosła obietnica z poprzedniego roku) i „spóźnił się na autobus” (to o Hitlerze, który jego zdaniem już stracił okazję do rozpętania zawieruchy w Europie). Teraz te słowa



wybuchły niczym granaty ręczne, które ktoś niechcący rzucił na ziemię.

Powściągliwe poparcie, które okazywano przemawiającemu Chamberlainowi, labourzysta Arthur Greenwood uznał za „sztuczne” ze względu na posępną atmosferę na sali: „[Izba] ma stroskane serce. Jest zaniepokojona, to coś więcej niż niepokój, jest wylękniona”<sup>3</sup>.

Kiedy Chamberlain wrócił na swoje miejsce, uwagę wszystkich przykuł konserwatywny deputowany, admirał sir Roger Keyes, który wszedł na mównicę w pełnym umundurowaniu (rzecz bez precedensu w Izbie Gmin) i uciszył zebranych. Ten odwieczny krytyk Chamberlaina napiętnował „wstrząsającą nieudolność” rządu<sup>4</sup>. A wiedział, o czym mówi, gdyż był naocznym świadkiem popełnianych błędów.

Następny w kolejce był Clement Attlee, przywódca opozycyjnej Partii Pracy. Raczej nie słynął ze szczególnego drygu do krasomówstwa, ale temat debaty wyraźnie mu służył, więc kąśliwie perorował o „nieporadnym” zmaganiu się rządu z ówczesną sytuacją:

Nie chodzi tylko o Norwegię. Norwegia to zwieńczenie wielu innych rozczarowań. O głównych odpowiedzialnych za taki stan rzeczy mówi się, że notują niemal nieprzerwane pasmo klęsk. Przed Norwegią były Czecho-Słowacja [*sic!*] i Polska. Wszędzie ta sama wymówka, że „za późno”. Pan premier wspominał chyba o spóźnianiu się na autobus. A co z tymi wszystkimi autobusami, które on i jego współpracownicy przegapiali od 1931 roku? Spóźnili się na autobusy pokoju, wsiedli za to do wojennego. Społeczeństwo jednak widzi, że ludzie, którzy konsekwentnie mylili się w swoich ocenach sytuacji, ci sami, którzy sądzili, że Hitler nie zaatakuje Czecho-Słowacji, i wierzyli, że Hitlera

można jakoś ułagodzić, teraz nie zmiarkowali, że Hitler zaatakuje Norwegię.<sup>5</sup>

Tuż przed północą, 7 maja, los Chamberlaina został właściwie przesądzony, ale wielu odniosło wrażenie, że premier tego nie dostrzega. Owo zaślepienie nie było niczym nowym. Jego główny sekretarz John „Jock” Colville zapisał w dzienniku w poniedziałek, 6 maja 1940 roku: „Premiera bardzo przygnębiają wymierzone w niego ataki prasy [...]. Sądzę, że o władnęła nim osobliwa próżność i wysokie poczucie własnej wartości, zrodzone jeszcze w Monachium\*, które pomimo licznych ciosów od tamtego czasu tylko się nasilały”<sup>6</sup>.

W tych okolicznościach rankiem 8 maja, przed drugim, rozstrzygającym dniem debaty i w obliczu oczywistego ociągania się Chamberlaina z ustąpieniem z funkcji premiera, członkowie obu instytucji – komisji nadzorującej oraz międzypartyjnej parlamentarnej grupy operacyjnej – raz jeszcze zebrali się w gmachu parlamentu. Postanowili wtedy przeforsować głosowanie w Izbie, którym deputowani, jak to wyjaśniał poseł labourzystów Herbert Morrison, mieliby „zasygnalizować, czy są z a d o w o l e n i z d o t y c h z a s p r o w a d z o n e j p o l i t y k i, c z y t e ż s ą d o t y c h z a s o w ą p o l i t y k ą z a n i e p o k o j e n i”<sup>7</sup>. Innymi słowy, chcieli zadać nokautujący cios, odciągając od Chamberlaina grono zwolenników, bez których jego dalsze przywództwo było w praktyce niemożliwe.

Informacja dotarła do deputowanych odpowiedzialnych za dyscyplinę partyjną, którzy gorączkowo zaczęli zabiegać o poparcie wśród członków różnych frakcji. Colville zanotował w pamiętniku,

\* Podczas konferencji monachijskiej we wrześniu 1938 roku w opinii większości Chamberlain ustąpił przed wszystkimi żądaniami Hitlera, sam jednak utrzymywał, że wynegocjował pokój.

że co bardziej prominentni konserwatyści „otwarci prawili o rekonstrukcji rządu i poważnie rozważali takie konszachty jak ubicie interesu (przez [lorda] Halifaxa z [Herbertem] Morrisonem), na mocy którego opozycyjna Partia Pracy miała zostać zaproszona do rządu w zamian za usunięcie najważniejszych ministrów – Sama Hoare’a, Kingsleya Wooda, [sir Johna] Simona itd., ale wyłącznie przy zastrzeżeniu, że Chamberlain zachowa stołek”<sup>8</sup>.

Teraz już szło na noże – które okazały się ostre, zwłaszcza wtedy gdy kwadrans przed trzecią po południu Izba zebrała się, aby wznowić debatę poświęconą prowadzeniu wojny.

Apele do Herberta Morrisona, aby nie dzielić Izby, spełzły na niczym. Parlamentarzyści z Partii Pracy zdecydowali, że nie będą odgrywać żadnej roli w rządzie pod kierownictwem „tego człowieka”, czyli Chamberlaina. Morrison przemawiał przez dwadzieścia minut, z pasją wzywając deputowanych do głosowania zgodnie z własnym sumieniem i do głębszego zastanowienia się, czy Wielka Brytania może dalej tolerować obecny stan rzeczy – żalosne prowadzenie wojny trwającej raptem osiem miesięcy. Przekaz był jasny: nie tylko Chamberlain musi odejść, lecz także z nim wszyscy ci, którzy popierali politykę ustępstw (*appeasement*), owo błędne przekonanie, które w latach trzydziestych XX wieku zdominowało politykę Wielkiej Brytanii wobec Niemiec, zakładającą, że jeśli się zaspokoi żądania Hitlera, to ten, nasycony, wycofa się do swojej jaskini. Oznaczałoby to także konieczność dymisji sir Samuela Hoare’a, ministra lotnictwa, oraz sir Johna Simona, ministra finansów.

Decyzja o rezygnacji z piastowanego stanowiska należała do Chamberlaina. Nadwątlony atakami zewsząd premier niewątpliwie powinien się poddać. Tymczasem wciąż się opierał, trzymając się kurczowo swojego stanowiska, i tylko od czasu do czasu kierował wzrok na nienawistne twarze oszczerców oraz autorów kalumnii. Kiedy w końcu miał wstać, wówczas, jak utrzymuje

w swoich pamiętnikach labourzystowski deputowany Hugh Dalton, wściekle „zerwał się, szczerząc zęby jak zagonione w róg dzikie zwierzę, i krzyknął: «Podejmuję wyzwanie i wzywam moich przyjaciół, a wciąż mam takich w tej Izbie, do wsparcia rządu dziś wieczorem w The Lobby»”<sup>9</sup>.

Niezdolność Chamberlaina do zrozumienia powagi sytuacji, w jakiej znajdował się naród, tylko wzmogła wściekłość jego przeciwników parlamentarnych. Członkowie obu obozów natychmiast zerwali się na równe nogi, usiłując zwrócić na siebie uwagę przewodniczącego Izby Gmin, aby to im udzielił teraz głosu. Okrzyki „Precz!” i „Zrezygnuj!” niosły się po całej sali, ale Chamberlain pozostawał niewzruszony. Stało się jasne, że trzeba jeszcze jednego, druzgocącego ataku, idealny zaś do jego przeprowadzenia kandydat właśnie powstał z ławy poselskiej. W rozkrzyczanej sali zrobiło się cicho. David Lloyd George, który był premierem z ramienia Partii Liberalnej w czasie poprzedniej wojny, początkowo ospale, ale potem coraz bardziej emocjonalnie przystąpił do mieszania Chamberlaina z błotem za doprowadzenie Wielkiej Brytanii do „najgorszego położenia strategicznego, w jakim kraj kiedykolwiek się znajdował”. W kulminacyjnym punkcie przemówienia zaapelował bezpośrednio do Chamberlaina: „Proszę dać przykład poświęcenia, albowiem nic tak nie może przyczynić się do zwycięstwa w tej wojnie jak to, aby on [Chamberlain] się poświęcił i złożył swe urzędowe pieczęcie”<sup>10</sup>.

Scenie tej przyglądała się – i potakiwała na znak aprobaty – z balkonu na piętrze żona przewodniczącego Izby Gmin, dame Margaret Lloyd George, która tak to później opisze:

Naprawdę bardzom zadowolona, że mój mąż przyłożył rękę do wyrzucenia Chamberlaina. Nigdy wcześniej nie widziałam podobnej awantury, Izba była zdecydowana wreszcie pozbyć się jego i sir Johna Simona, i Sama

Hoare'a [...]. Jazgot, jaki potem temu jeszcze towarzyszył, był okropny, także te okrzyki: „Odejdź, precz”. Daję słowo, że n i g d y nie widziałam premiera odprawianego w takiej atmosferze. Sprowadził na kraj nieszczęście, a torysi twar- do powtarzali po Monachium, że „uchronił nas od wojny”. Nieszczęśnicy musieli chyba przeżyć spory szok.<sup>11</sup>

Ostra debata przeciągnęła się aż do nocy. Chamberlain nie zamierzał łatwo odejść. Kilka tygodni później po raz pierwszy przyznał w pamiętnikach, że odczuwał „znaczne bóleści” wskutek raka jelita, który doprowadzi do jego śmierci w ciągu zaledwie paru miesięcy<sup>12</sup>. Być może czuł, że te dni to ostatnia szansa, aby nie zostać obarczonym odpowiedzialnością za upadek Europy, demokracji i brytyjskiego stylu życia. A może istniała jeszcze inna przyczyna, bardziej skryta, dla której tak ociągał się z dymisją?

Kilka ław za premierem siedział człowiek, który tak naprawdę w znacznie większym stopniu był winny przebiegu kampanii norweskiej z poprzedniego miesiąca, kiedy stracono tysiąc ośmiuset ludzi, lotniskowiec, dwa krążowniki, siedem niszczycieli oraz okręt podwodny.

Winston Spencer Churchill, jako pierwszy lord Admiralicji, był najważniejszym architektem fatalnej strategii morskiej. Uwagę wszystkich jednak całkowicie pochłaniała osoba premiera, a Churchill pozostawał poza ostrzałem krytyki i starał się nie zostawiać odcisków palców jako dowodu zbrodni. Kolej na zabranie przez niego głosu dopiero miała nadejść, on zaś czekał na właściwy moment.

Nie był lubianym politykiem. Wtedy uchodził wręcz za pośmiewisko, egotystę, „amerykańskiego mieszańca”, który – jak stwierdził sir Henry „Chips” Channon, deputowany Partii Konserwatywnej – popierał tylko jedną opcję: samego siebie. Trudno

w to uwierzyć dziś, gdy w Wielkiej Brytanii jego imię nosi trzy i pół tysiąca pubów i hoteli, półtora tysiąca auli i budynków oraz dwadzieścia pięć ulic, a jego twarz spogląda ze wszystkiego, od podkładek pod kufle po wycieraczki do butów, nie wspominając o popiersiu okazjonalnie pojawiającym się w Gabinetce Ovalnym prezydenta Stanów Zjednoczonych. W maju 1940 roku jednak dla dużej liczby ludzi był on zaprzeczeniem osoby, której można powierzyć swoje losy.

Churchill, przez wielu w partii określany mianem zdrajcy za „przejście na drugą stronę barykady” – przeniósł się z Partii Konserwatywnej do Liberalnej w 1904 roku, by następnie, w 1924 roku, wrócić na łono torysów – wykazywał się tymczasem zdumiewającą lojalnością w stosunku do Chamberlaina. Nie inaczej było i tego dnia, kiedy w połowie wystąpienia Lloyda George'a, by ocalić premiera, przyjął na siebie całą winę: „Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wszelkie decyzje podejmowane przez Admiralicję i jestem gotów ponieść konsekwencje”<sup>13</sup>.

Lloyd George, któremu Churchill przerwał wówczas, użył zgrabnej riposty: „Wielce szanowny panie pośle. Dżentelmen nie powinien pozwalać sobie na robienie za schron przeciwlotniczy po to tylko, by odłamki nie poraniły jego towarzyszy”<sup>14</sup>.

Wyznanie win Churchilla było pierwszą odsłoną pozorowanej misji ratunkowej obliczonej na porażkę, ale też na pozyskanie sobie przychylności towarzyszy partyjnych poprzez wzruszający pokaz lojalności. Trudno byłoby o dogodniejszą okazję, by zdemontować, jak bardzo potrafi być „premierowski”, kiedy się postara, a tym samym jako czarny koń w stawce dopisać nieformalnie swoje nazwisko do listy kandydatów na to stanowisko.

Kiedy w końcu nadeszła kolej Winstona do zabrania głosu – korzystał z tej sposobności niekrótco – buntownicy zamarli w oczekiwaniu i nadziei na wiekopomne słowa potępienia. Tymczasem on nie powiedział nic, co mogłoby zapaść na długo w pamięć,

ani nawet nic takiego, czego sam Chamberlain nie mógłby wyrzucić na swoim nagrobku. Churchill wygłosił tak kunsztownie nikłe pochwały, że ostatecznie powiedział dokładnie tyle, ile chciał: zbyt mało, zbyt późno. Festiwal słów, którym Winston mógł uraczyć zgromadzonych, wyraźnie został zachowany na właściwszy moment, zwłaszcza że w głowie powstawały już zręby przyszłych przemówień, po cichu powtarzane wyrażenia, które w nadchodzących dniach miały się przysłużyć innemu, bardziej spektakularnemu celowi, i nie należało wystrzelać się z nich już teraz.

Kiedy Churchill wrócił na miejsce, swoim przemówieniem zapewne uzyskał jedno: jego gwiazda może nie świeciła jeszcze pełnią blasku, ale w tamtych krytycznych chwilach nie straciła go zbyt wiele, podczas gdy wszystkie pozostałe widoczne na firmamencie natychmiast zgasły.

Kiedy więc przewodniczący wezwał Izbę Gmin do głosowania, większość opinii była zdecydowana. „Chips” Channon wspominał:

Patrzyliśmy na szeregi buntowników zgromadzonych w przed-ionku opozycji [...]. „Quislingowie”, uderzyliśmy w nich, „sprzedawczyki”. „Potakiwacze”, odgryźli się [...]. „281 za, 200 przeciw” [...]. Rozległy się krzyki „Wynoś się, precz” [...] a ten stary dureń Josh Wedgwood zaczął wymachiwać rękami i zaintonował *Rule Britannia*. Siedzący obok niego Harold Macmillan dołączył do śpiewu, ale obaj zostali wybuchani. Neville sprawiał wrażenie człowieka powalonego na kolana złowrogim wynikiem głosowania. Wyglądał na posępnego, zadumanego i przybitego [...]. Tego wieczoru nie było tłumy, który wzniósłby okrzyki na jego cześć, jak to miało miejsce przed Monachium; teraz był sam, samotny człowieczek, który dawał z siebie wszystko na rzecz Anglii.<sup>15</sup>

Pomimo nikłego zwycięstwa w głosowaniu Chamberlain *de facto* stracił zaufanie swojej partii, w sumie bowiem czterdziestu jeden konserwatystów zagłosowało przeciwko rządowi. Najmłodszym z nich był John Profumo, zaledwie dwudziestopięcioletni deputowany, który wymknął się z koszar, by wziąć udział w głosowaniu, a potem został surowo skarcony przez budzącego postrach rzecznika dyscypliny partyjnej torysów Davida Margessona: „Ty mały, żałosny dupku [...], do końca życia będziesz się wstydził tego, co wczoraj zrobiłeś”<sup>16</sup>. Ostatecznie przewaga liczebna konserwatystów skurczyła się do osiemdziesięciu jeden posłów, a dalsza debata nie miała sensu. Teraz trzeba było publicznej krucjaty, jak uważał „Jock” Colville, główny sekretarz Chamberlaina. Przy okazji odnotował, jakie to „wstrętne”, że „cała para idzie w gwizdek w związku z wewnętrznym kryzysem politycznym (*à la française*), choć powinniśmy zastanawiać się nad jutrem i następnym krokiem Hitlera”<sup>17</sup>. Trzeba było wyłonić nowego przywódcę. Tylko kogo? Kto był tego godzien? I kto był na to gotów?

Polityczne spory wewnętrzne zaciemniły beznadzieję położenia, w jakim znalazł się kraj. Wielkiej Brytanii trzeba było kogoś, kto nie tylko zjednoczy Partię Konserwatywną, ale także włączy do współpracy partię opozycyjne i siły zbrojne. Te ostatnie nie potrafiły ze sobą współpracować w trakcie pierwszej militarnej porażki, która jakże drastycznie zakończyła tak zwaną dziwną wojnę (*Phoney War*), trwającą od ośmiu miesięcy, czyli od chwili najazdu Niemiec na Polskę.

Channon zapisał w pamiętniku, że wśród prominentnych polityków rozpleniły się „pogłoski i knowania, spiski i przeciwspiski”<sup>18</sup>. Choć to Churchilla tak wiele osób broniło i wychwalało podczas debat w poprzednich dniach, to jednak wcale nie on zyskiwał coraz większe poparcie w Partii Konserwatywnej. Wśród wielu nazwisk jedno jawiło się jako jedyne godne w naturalny sposób zastąpić Chamberlaina. Nosił je człowiek, któremu nie

Książka towarzyszy filmowi *Czas mroku*,  
który powstał na podstawie scenariusza  
Anthony'ego McCartena.

Maj 1940 roku. Trwa wojna, demokracje europejskie upadają, wojska Hitlera uderzają na Belgię, Holandię i Francję, a angielska opinia publiczna nadal nie rozumie, że świat stanął nad przepaścią. Zaledwie kilka dni po objęciu stanowiska premiera Winston Churchill ma przed sobą trudny wybór – negocjować z nazistami i uniknąć inwazji na Wielką Brytanię czy sprzeciwić się i narazić życie rodaków. Churchillowi nie sprzyjają ani król, ani własna partia. Musi przekonać naród. Wygłasza mowę, która porusza serca Brytyjczyków...

Anthony McCarten tworzy portret Churchilla na nowo. Odmalowuje wielkiego przywódcę, którym w tamte burzliwe i mroczne dni targały wątpliwości i który rozważał ustąpienie Hitlerowi. Brytyjski premier nie jest tu ikoną. Jest człowiekiem ze wszystkimi ułomnościami i słabościami. Lecz to na nim spoczywa odpowiedzialność za losy świata.

FOCUS FEATURES PRESENTS IN ASSOCIATION WITH PERFECT WORLD PICTURES A WORKING TITLE PRODUCTION A JOE WRIGHT FILM GARY OLDMAN "DARKEST HOUR"  
KRISTIN SCOTT THOMAS LILY JAMES STEPHEN DILLANE AND BEN MENDELSON CASTING BY JINA JAY MUSIC BY DARIO MARIANELLI COSTUME DESIGNER JACQUELINE DURRAN EDITOR VALERIO BONELLI  
PRODUCTION DESIGNER SARAH GREENWOOD DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY BRUNO DELBONNEL A/C A/S C EXECUTIVE PRODUCERS JAMES BIDDLE LUCAS WEBB LIZA CHASIN WRITTEN BY ANTHONY MCCARTEN  
PRODUCED BY TIM BEVAN ERIC FELLNER LISA BRUCE ANTHONY MCCARTEN DOUGLAS URBAANSKI DIRECTED BY JOE WRIGHT  
FOCUS FEATURES SOUNDTRACK ON DEUTSCHE GRAMMOPHON WORKING TITLE UNIVERSAL PICTURES

© 2017 UNIVERSAL STUDIOS. ALL RIGHTS RESERVED.

w sprzedaży także



cena 37,90 zł

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

